GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

W ostatnim zeszycie „Bibljoteki warszawskiej“ znajdujemy nadzwyczaj interesującą rozprawę p. Bronisława Łozińskiego o okropnych wypadkach 1846, w której autor na zasadzie nieznanych dotąd dokumentów, przedstawia role niemieckiej biurokracji podczas galicyjskiej rzezi. Sądzimy że praca ta zainteresuje naszych Czytelników.

* * *

Aleksander hr. Fredro, w tej dobie należący już do najwybitniejszych osobistości w polskiem społeczeństwie Galicji, nietylko z tytułu literackiej sławy, lecz także ze stanowiska obywatelskiego w ogóle, napisał zaraz po rzezi dla zesłanego z Wiednia nadzwyczajnego komisarza cesarskiego, Rudolfa hr. Stadiona, memorjał o położeniu kraju, bardzo oględny pod względem politycznym, ale za to bardzo dobitny w traktowaniu stosunków społecznych i administracyjnych. Szczegóły rzezi ominął hr. Fredro w tym memorjale, ale sąd swój o niej wypowiedział w tem wymownem zapewne i dla komisarza cesarskiego zdaniu: „Nie możemy wchodzić w krwawe zdarzenia zachodnich cyrkułów. Czas je wyświecić może — Bóg osądzi pewnie“.

Przed sądem Bożym stanęli już dawno wszyscy bezpośredni i pośredni sprawcy i uczestnicy rzezi z roku 1846, ale o wyświecającym wpływie czasu można powątpiewać. Od czasu, kiedy Fredro pisał swój memorjał, upłynęło z górą lat pięćdziesiąt, w tym okresie półwiekowym wydano wiele pamiętników, szkiców i obrazków historycznych na temat roku 1846, ale mimo to wszystko, kwestja, którą hr. Fredro z pewnością głównie miał na myśli, kwestja winy urzędników cyrkularnych, pozostała dotąd w takiej pomroce, jak gdyby chodziło o bardzo odległe czasy. Kwestja ta jest właściwie jasną dla nas, jeżeli weźmiemy za podstawę sądu tyle pozytywnych twierdzeń zupełnie wiarogodnych świadków współczesnych z polskiej strony. Historyk tych czasów jednak zawsze liczyć się musi z faktem, że tym twierdzeniom polskim niemieccy autorowie przeciwstawiają mniej lub więcej stronnicze zaprzeczenia, a ponieważ między tymi autorami są tacy, którzy, jak naprzykład br. Sala, chełpią się zbadaniem i zużytkowaniem źródeł urzędowych, więc i tutaj tak samo jak w dociekaniach filozoficznych, *negantis maior potestas,* i zawsze od oskarżycieli, podejrzanych o stronniczość goryczą podyktowaną, wymagane będą dowody kategoryczne i autentyczne. A właśnie pod tym względem sam wpływ czasu podnosi szanse tych, którzy, licząc na powolne znikanie dowodów, odpowiadają na oskarżenie śmiałem, chociażby tylko gołosłownem, zaprzeczeniem.

Kiedy bowiem otworzą się wreszcie dla historyka archiwa rządowe, nie znajdzie już w nich aktów cyrkularnych, szkartowanych i niszczonych wśród tylu późniejszych organizacji i reorganizacji, jakim uległa administracja polityczna Galicji; a akta gubernialne i ministerjalne, o ile także perjodyczne szkartowanie prywatne ze strony interesowanych nie rozbiło ich na luźne, już więcej spoić się niedające, fragmenty, zawierać będą w oględnie i poprawnie ustylizowanych relacjach chyba dalsze a zbędne już dowody na fakt, że sfery rządowe w Wiedniu, w swoim zupełnym rozstroju ówczesnym, nie wiedziały o wszystkiem, a tem samem wszystkiego

ani zarządzić, ani aprobować nie mogły. Przypadek jednak, jak zawsze, tak i tutaj, wyświadczyć może wielką przysługę, wtrącając niejako historykowi pod rękę akt, który, albo sam w sobie posłużyć może już za klasyczne poparcie twierdzeń, dotąd oficjalnie, ale gołosłownie zaprzeczanych, albo, jakby jedna kość zwierzęcia przedpotopowego dla anatoma, stanie się podstawą do wysnucia wniosków o całości.

Takiemu łaskawemu przypadkowi zawdzięcza piszący, że wśród spowodowanych innym tematem*) poszukiwań archiwalnych, tyczących się przekształcenia, a następnie zniesienia dawnych mandatarjatów galicyjskich, wpadł mu pod rękę akt, który zasługuje z pewnością na nazwę historycznej *pièce à convicion.*

Kiedy po zniesieniu pańszczyzny dawni mandatarjusze ubiegali się o posady rządowe, mianowicie przy organizacji urzędów podatkowych i powiatowych za pierwszego namiestnikowstwa Agenora hr. Gołuchowskiego, niejaki Erazm Błocki, były mandatarjusz z Humieńca w dawnym cyrkule lwowskim, był tak naiwny, że do podania swojego dołączył, jako dokument, specjalnie go zalecający wobec rządu, następujący pisemny rozkaz starosty lwowskiego, Milbachera, własnoręcznie przezeń napisany i zaadresowany:

„L. 74. Do Pana mandatarjusza Błockiego**)

Zwołaj Pan wszystkich chłopów z kosami i każ im Pan wszystkich buntowników pochwytać, a jeżeliby się bronili, zgładzić. Urlopnicy powinni pomagać, pan komisarz Klossorz przybędzie tam i przyniesie pomoc dzielnym chłopom w Horożanie. Ze 100 chłopami możesz Pan ubić 100 takich drabów; w Tarnowskim cyrkule chłopi poradzili sobie dobrze; schwytali 108, pomiędzy nimi czterech hrabiów, i zabili 27. Masz Pan sposobność do stwierdzenia swojej wierności dla Najjaśniejszego Pana i oczekuję też tego; odwaga i energiczne działanie doprowadzą do zasłużonego ukarania buntowników. Donoś mi Pan o wszystkiem.

Lwów, 22 lutego 1846 roku.

Milbacher."

Jest to przekład dosłowny i ścisły. Z orygínalnego tekstu niemieckiego przebija jednak ton jeszcze ostrzejszy, którego wierne oddanie w przekładzie polskim wymagało-by koniecznie pewnego odstąpienia od dosłownej ścisłości. A na takiej ścisłości właśnie najwięcej zależało.

Do tego hajdamackiego aktu, którego, mówiąc mimochodem, namiestnik, hr. Gołuchowski, z łatwej do odgadnięcia przezorności, nie kazał zwrócić Błockiemu, potrzebny jest dla objaśnienia krótki komentarz. W cyrkule lwowskim były fałszywe alarmy, ale nie przyszło do żadnego wybuchu. Horażana, gdzie się w lutym roku 1846 rozgrywały krwawe sceny, znane z dokładnego opisu jednego z uczestników ruchu, podlegała kompetencji starosty samborskiego. Starosta lwowski, Milbacher, kazał zatem mobilizować chłopstwo z kosami bez konkretnego powodu, niejako z przezorności. Uczynił to z własnej inicjatywy i na własną rękę, a dopiero po dokonanym fakcie doniósł gubernium galicyjskiemu w sposób ogólnikowy, dodając przytem z oburzającym tryumfem biurokraty te słowa: „Poddani z radością chwytają za kosy dla utrzymania spokoju i chwytania powstańców" — których, nb., wcale nie było pod Lwowem.

Jeżeli takie nakazy wydał starosta lwowski, niezagrożony wybuchem, a w dodatku mogący każdej chwili ustnie zaalarmować gubernium i na poczekaniu otrzymać zbrojną asystencję z załogi lwowskiej, to cóż dopiero zawierać mogły, nawet zawierać musiały, ustne i niezaprotokołowane, lub pisemne, wprawdzie lakonicznie z numerem zaprotokołowane, ale jak przez Milbachera wprost w oryginale, a nie w czystopisie, więc bez pozostawienia śladu archiwalnego ekspedjowane i na zawsze już dla historyka stracone, rozporządzenia i rozkazy w cyrkułach naprawdę zagrożonych, zwłaszcza w cyrkule Tarnowskim i Bocheńskim! A dalej, jeżeli tak dziko postępował Milbacher, wprawdzie w pamięci źle zapisany, ale nie najbezwzględniejszy jeszcze starosta galicyjski z roku 1846, to cóż dopiero pozwalać mógł sobie taki Bernd w Bochni, bezwzględny z natury, a do tego podniecony mściwością za śmierć syna, porucznika, poległego w pierwszych utarczkach powstańców zachodnio-galicyjskich z wojskiem austrjackiem, to na cóż zdobyć się mógł taki istny potwór, jak Breinl w Tarnowie. A trzeba jeszcze i to zaznaczyć, że Bernd i Breinl mało pisali, a za to ustnie zalecali i rozkazywali na konferencjach z wójtami i delegatami gmin wiejskich, że nadto Breinl, sprytniejszy i nierównie przebieglejszy, niż jego koledzy, na widok europejskiego rozgłosu wypadków tarnowskich, pewnie nie zaniechał poniszczyć pisemnych śladów swoich nadużyć, zanim jeszcze zjechał do Galicji wysłany z Wiednia, dla zasiągnięcia informacji, radca kancelarji nadwornej, a późniejszy gubernator, Wacław Zaleski. W tej dobie zatem tak *verba* jak i *scripta* — *volant.*

(C. d. n.)

*) Studjum o pierwszym okresie rządów Agenora hr. Gołuchowskiego. (Przyp. aut.).

**) W akcie mylnie: Błońskiego.

O. WACŁAW

szkic biograficzny

przez

O. ANIOŁA.

„Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Loretu, żałość górująca,
Wszystkie chłonie — a to niby Ojczyzna płacząca".
(Kornel Ujejski).

I czemu to się głos dzwonów tak smętliwie żali?

Czemu dźwięk ich rzewny wszelką radość głuszy?

Ach! jakiej to nam obwieszcza odlot w niebo duszy?

Oto umarł nam rycerz, co sercem serca podbijał człowiecze.

Otoż nowa znów strata — nowa szczerba w Narodzie polskim — a szczerba, która się nigdy już może, albo takim nie da nabytkiem zapełnić.

Oh! smutna zaprawdę dola nasza — rok po roku nowe zwiastuje straty — rok po roku nowe zawody, iż zdaje się jakoby nam w ciągłej żyć przeznaczonem było boleści.

Bić nam przestało jedno znowu serce, co ukochało wolność i swobodę.

Już rozniosła cała prasa podwawelskiego grodu krótką biografię zmarłego kapłana patrjoty. Sądzę jednak, że cześć dla męża pełnego zasług nie uleci tak szybko z pamięci rodaków. Więc chciejcie przyjąć tych jeszcze kilka listków uszczkniętych ręką młodego kapłana z życia ś. p. O. Wacława.

Dzień 19. lipca r. 1829. echem radości odbił się w starym ukraińskim szlacheckim dworku pobożnego Łukasza Rawicz Nowakowskiego i zacnej Klotyldy z Korzelińskich, właściciela Bobrówki. Dnia bowiem tego nowa zakwitła latorośl na polskiej ziemi, tej ziemi, która znów się rwała powstać z trumny, aby wzgardy wzrokiem rzucić na swych wrogów zastęp dumny i wstać w szacie świętej, w szacie krwawej, aby bronić godła polskiej czci i sławy. W dni kilka później otrzymało to dziecię na chrzcie imię św. Edwarda.

Pierwsze początki wychowania odebrał w rodzinnym majątku, gdzie dnia każdego bogobojna matka rzucała w młode serce nasionka cnót dawnych przodków, i uczyła szeptać ciche pacierze do Królowej Polski o litość i miłosierdzie dla rozdartej ojczyzny.

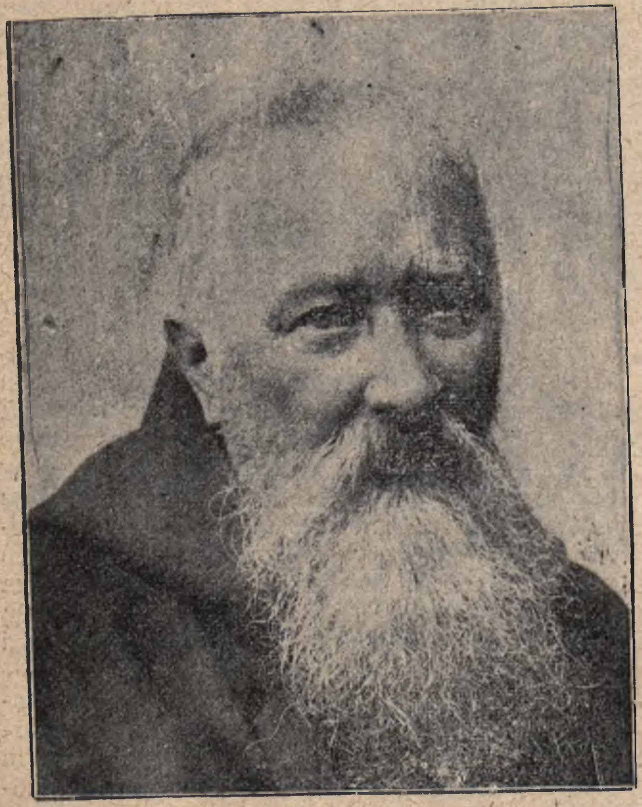
Gdy umysł młodocianny począł się rozwijać, kształcono go dalej w Krzemieńcu a następnie w prastarej Warszawie. Ukończywszy później wydział filozoficzny w Kijowie, objął młodziuchny Edward obowiązki urzędnika biblioteki Konstantego Świdzińskiego w Sulgostowie. Tu się zapoznał z zakonem Kapucynów z Nowego Miasta położonego o trzy mile od stałego jego mieszkania. Dla uprzejmości charakteru, porwał odrazu serca rodziny Świdzińskich i czując się u nich jakby w własnym domku, często zapraszał ubogich mnichów na skromny posiłek do siebie. W śród tak cichej i gorliwej pracy poczęły rozwijać się cnoty wszczepiane przez matkę polkę, którą kochał nad życie.

Grzebiąc po książkach, usłyszał nagle głos Pański: „Idź do ludu mego i mów mu słowo prawdy i słowo nadzieji, a nie lękaj się, bo Ja ci dam ducha jak djament i krzemień, a serce jak ogień palące." (Ezech. III. 8.) Usłuchał tego głosu i w roku 1860 udał się do Warszawy. Tu poznał śp. O. Prokopa Leszczyńskiego, prowincjała ówczesnego OO. Kapucynów i zostawszy jego penitentem, za rozkosz poczytywał sobie służyć mu codziennie do mszy św. Pod rozumnem kierownictwem duch powołania się wzmagał, aż wreszcie przyjął skromny habit św. Franciszka, rozpoczął nowicjat w Lubartowie i otrzymał imię zakonne Wacław, dnia 11. czerwca 1860. Po złożeniu ślubów zakonnych wysłano młodego, cichego, niewinnego jak anioł kleryka na studja teologiczne do Warszawy i Lublina. W tym to czasie brat jego Karol dostał się do więzienia politycznego. Zabolało serce młodego zakonnika, a mając już wówczas chlubną opinię u arystokracji, za wpływami rodziny hr. Zamojskich uzyskał jego uwolnienie. Już był bliskim ukończenia nauk teologicznych, kiedy nadszedł rok 1863. chwila pamiętna w dziejach całego narodu. I znowu Pan przypomniał mu usty Psalmisty: „Jeźli cię zapomnę Ojczyzno moja miła, niech zapomnę prawicę ręki mojej." Odpowiedzią na ten głos gotowem stało się serce jego do boju, gotowem do przelania krwi za drogą Ojczyznę. Więc poszedł wraz z młodzieżą pragnącą oswobodzić naród z jarzma niewoli i odegrał w ruchu narodowem wybitną rolę.

On to był duszą i organizatorem powstania całego na Litwie i Podolu; on był powiernikiem wszystkich tajemnic i najdzielniejszym doradzcą Langiewicza, i z nim kilkakrotnie przebiegał Galicję, to znowu wracał do Warszawy; on to nieraz sam wydawał rozkazy, i dyktował taktykę wojenną kilku równocześnie dowódzcom.

Suknia zakonna zdawała go się chronić przed pościgiem rosyjskiem, i dlatego najważniejsze sprawy w jego ręce składano. Prawdopodobnie przez zdradę, dostał się w roku 1864 w ręce moskali — pojmali go w zakonnym kurytarzu i wprowadzili do celi. Mając u siebie w starym kapturze liczne papiery i korespondencje Rządu narodowego, przed rewizją wyrzucił za okno. Tymczasem pod oknem ogrodu stała straż i ta jako „spiskowca" go pojmała. Przemocą zdarto z ciała świątobliwego, połatany habit, i powleczono go do więzienia. Tu po kilkakrotnem przesłuchaniu skazany został na śmierć. Już stał prawie pod szubienicą — gdy Matka Boża ulitowała się nad wiernym swym sługą,

przeznaczając go do wielkiej jeszcze missji i zesłała pomoc w osobie hr. A. Zamojskiej, za której wpływami zmieniono karę śmierci na śmierć inną, bo wolnego konania w syberyjskich rotach aresztanckich. W pochodzie na wygnanie spotkał się na jednem z etapów z szeregiem wysłańców do ciężkich robót. W ich gronie był brat jego rodzony, szlachetna duszyczka, artysta malarz, Karol. Czując się nieco silniejszym a raczej gorącą płonąc ku niemu miłością — przekupił kapitana oddziału wygnańców, i zamienił się z bratem. Karol poszedł na „posilenie“ a O. Wacław do kopalni w Irkucku i Ussoli. Szedł cichy, z brewiarzem — regułką i małym obrazkiem N. P. Ostrobramskiej — z



O. WACŁAW.

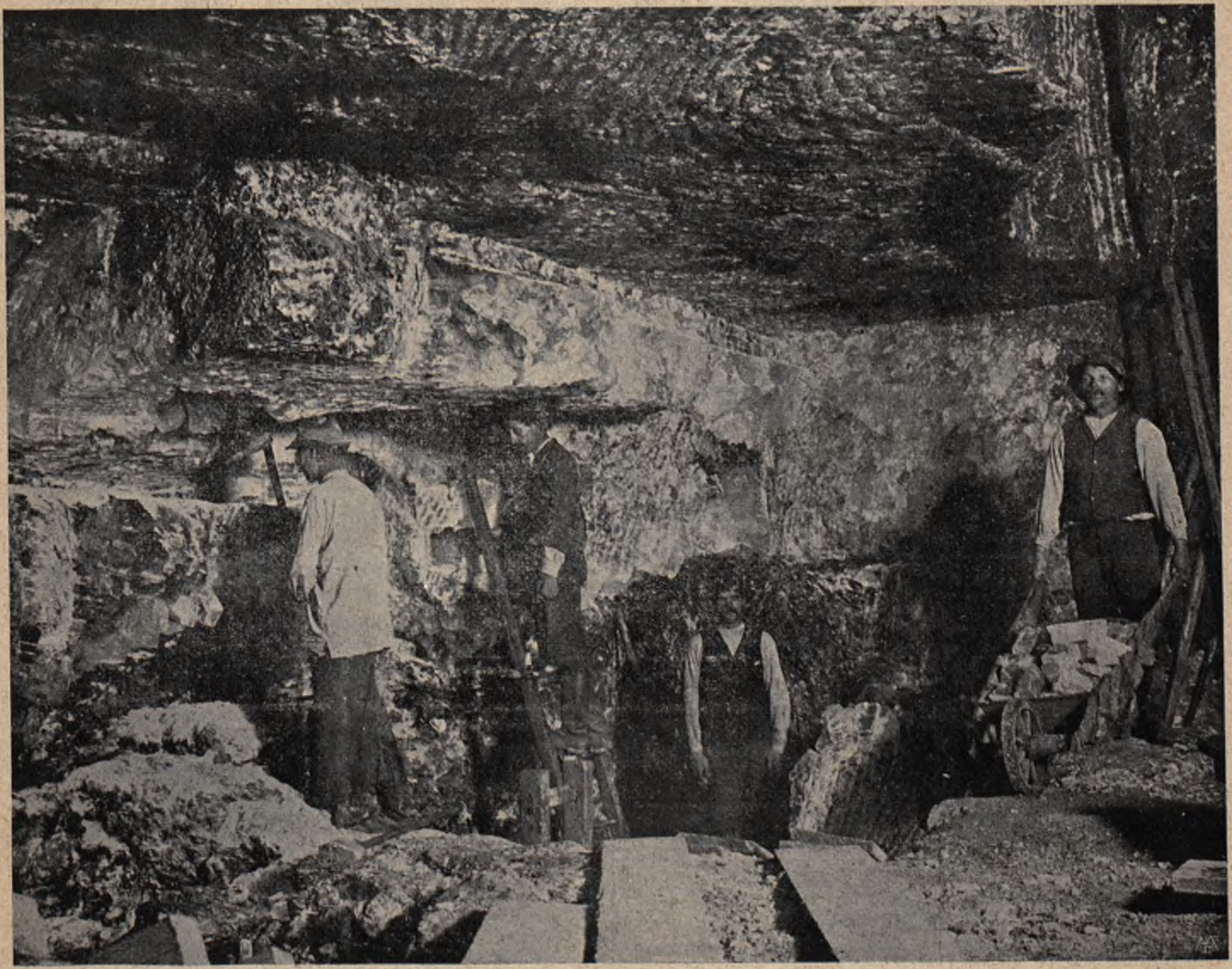
którymi przez całe życie nigdy się nie rozłączał, na lody Sybiru. Katowany i męczony, kroplami krwi niewinnej i świętej znaczył tę ziemię, gdzie się nasze snują dzieje męczeństwa. 12 lat przebył tu w strasznej pracy, mając jedynym pocieszycielem brewiarz zakonny i O. Rafała Kalinowskiego, obecnie Karmelity w Wadowicach. Lubo ciężki był tam jego los, rozsiewał wszędzie pogodę i miłość bratnią. Zdarzyło się, ile razy, że ktoś z więźniów zawinił — on sam się za nich ofiarowywał na chłosty i kary. Gdy widział czyje oblicze smutne lub zamęt jaki między skazańcami, słodyczą, miłością swoją goił wszelkie rany, uczył przebaczać wszelkie urazy, naprawiał wady. Słowem tak był szanowany i kochany, iż wszyscy uważali go za „świętego.“ Jako wspomnienie z tych czasów wydał pierwsze utwory swego pióra pod pseudonimem Edwarda z Sulgostowa p. t. „Willia w Ussoli“ — gdzie barwnym stylem maluje straszny stan biednych męczenników naszej Polski. Lodowaty Sybir nie wyziębił jego gorących uczuć, ani kajdany nie zdołały okuć jego ducha. Gdy w końcu wydobył się ze szponów katowskich internowany był w Odessie, skąd udało mu się schronić na Wołyń i Podole a następnie przez Galicję i Poznań wyemigrował do Paryża. Tu nosił się z zamiarem wstąpienia do zakonu Trapistów — a widząc, że cel tego zakonu nie odpowiada jego przekonaniom, po dwuletniej przeszło tułaczce po Szwajcarji, Włoszech, gdzie u grobu Apostołów szukał wsparcia i otuchy do dalszego cierpliwego znoszenia krzyżów i przeciwności — przybył w r. 1878 do Krakowa — unosząc ze sobą aresztancką suknię, którą aż do śmierci chował jako relikwię i nam młodym kapłanom nieraz dla pokrzepienia ducha narodowego pokazywał. W murach krakowskiego konwentu znalazł gościnne przyjęcie, i tutaj po dokończeniu nauk teologicznych w r. 1880 przedstawiono go śp. kard. Dunajewskiemu, z prośbą o wyświęcenie na kapłana. Drzącą dłonią, co dźwigała również kajdany niewoli, przycisnął śp. Dunajewski już siwowłosego O. Wacława i namaścił na kapłana wielkiego w kościele i w narodzie.

Dzień 2. lutego r. 1880 zgromadził w kościółku Kapucyńskim liczne zastępy publiczności, która spieszyła z bijącem sercem przyjąć błogosławieństwo z rąk prymicjanta.

Od tej pory zaczyna się druga epoka życia jego, „kapłańska.“ Zaledwo pokazał się na ambonie, zaraz zasłynął swoją wymową i nauką, którym sama opinia świątobliwości jeszcze uroku dodawała. Odtąd kościół Kapucyński zaczął się wypełniać słuchaczami licznymi, a następnie i malutka celka O. Wacława zaczęła obfitować coraz częściej w gości szukających nie tylko poznania słynnego z wymowy i świątobliwości kaznodzieję, ale i rady zbawiennej. Konfesjonał też jego coraz bardziej był otoczony i wkrótce został powszechnie uznany za biegłego duchownego Przewodnika i wszystkie dusze pragnące postępu, ubiegały się o jego kierunek.

Praca w konfesjonale tak go pochłaniała, że zaledwie miał czas na odprawienie swoich pacierzy i innych ćwiczeń — a nie miał go na wypoczynek. Ledwo zdążył przespać jaką godzinę, znów go wzywano do chorych, lub do innych potrzebujących nagłej duchownej pomocy. Gorliwy ten sługa Boży miał wielu swoich wielbicieli, którzy głosili jego imię i czyny i pociągali wiele dusz ku niemu. Sama miłość dla tych dusz i gorące pragnienie zbawienia ich, dostateczną mu było pobudką do nieoszczędzania się i narażenia na wielkie niebezpieczeństwa. Nigdy jednej chwili nie ociągał się, gdy był wezwany

do chorych, przerywał najważniejsze ćwiczenia lub zajęcia, pamiętając, że jedna chwila może być dla nich stanowczą a zawsze obawiając się, aby nie przybył za późno. Wysyłany często po parafiach zbliżywszy się do ludu i poznawszy go bliżej, pokochał bardzo. Znał go on i dawniej, i dawniej go miłował, ale teraz poznał jego duszę. Zrozumiał z jednej strony główny powód jego upadków tj.: brak oświecenia, z drugiej strony dojrzał tam żywą bardzo wiarę i gotowość serca; i całym zapałem oddawał się jemu. Człowiek doświadczony, znający serca ludzkie, umiał trafiać do przekonania prostaczków. Obdarzony jasnym umysłem i gorącem sercem, przejęty wielkim duchem apostolstwa, umiał zrozumieć wartość każdej posługi duchownej i przejmował się przy niej takim świętym zapałem — jakby raz w życiu ją miał spełnić. Ztąd też i owoce tych posług były zawsze obfite. Toć do konwentu krakowskiego przyjeżdżało wiele zacnych osób z najpierwszych rodzin w kraju dla odbycia pod jego kierunkiem rekolekcji, szczególniej przed obiorem stanu i ztamtąd wyszło niemało sług Bożych lub przywódców najzacniejszych rodzin, powszechnie dziś szanowanych. Z tego czasu mamy też wiele jego „mów żałobnych“ Niektóre z nich były drukowane jak np. na pogrzebie Dr. Krajewskiego, nad grobem Apolina Hofmeistera, wojewody brzesko-litewskiego i wiele innych. W tych przemówieniach żałobnych nie ograniczał się zwykle na ogólnej nauce o śmierci, ale w każdej mowie podnosił jakąś kwestję życia chrześciańskiego. Gdziekolwiek się obrócił ten gorliwy apostoł, wszędzie miał jedno na myśli — szerzenie królestwa Bożego. Do jakiejkolwiek czynności się zabrał, zawsze widział rozbudzające się pod tchnieniem słowa jego życie duchowne. Młodzież, widząc człowieka wszechstronnie wykształconego, wywodzącego wszystko racjonalnie i gruntownie, a przedewszystkiem przykładem życia świecącego, zaczęła poważniej traktować rzeczy religijne. (Dok. nast.)



Poszukiwanie kryształów, (Grota kryształowa).

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Chcę wiedzieć o wszystkiem, co się zdarzy, choćby to napozór nie miało żadnego związku z naszą sprawą; pragnę zwłaszcza poznać stosunki młodego Baskervilla z sąsiedztwem, oraz wszelkie szczegóły, odnośne do śmierci sir Karola. Jedno wydaje mi się pewnem, a mianowicie, że pan Jerzy Desmond, najbliższy spadkobierca, jest człowiekiem bezinteresownym i że on nie był sprawcą morderstwa. Możemy go zupełnie pominąć. Szukajmy wśród najbliższego otoczenia sir Henryka.

— Czy nie należałoby przedewszystkiem pozbyć się małżonków Barrymore?

— Byłoby to wielką nieostrożnością. Jeżeli są niewinni, stałaby się im krzywda; jeśli są winni, ułatwiłoby im to zatarcie śladów. Nie! trzeba ich zatrzymać, ale nie spuszczać z oka. Jest tam jeszcze *groom*. Jest dwóch dzierżawców w pobliżu łąki. Jest doktor Mortimer, ale ten wydaje mi się zupełnie uczciwym; jest jego żona, o której nic nie wiemy. Dalej jest pan Frankland z Lofter-Hall i jeszcze paru sąsiadów. Tym wszystkim sąsiadom musisz przyglądać się bacznie, aby poznać dokładnie ich charakter, ich cele, upodobania i t. d.

— Uczynię co tylko w mej mocy.

— Wszak masz broń przy sobie?

— Tak, na wszelki przypadek wziąłem rewolwer.

— Niech cię nie opuszcza we dnie i w nocy; bądź w zbrojnem pogotowiu.

Nasi przyjaciele znaleźli już przedział pierwszej klasy i czekali na platformie.

— Nie mamy żadnych wieści — odparł doktor Mortimer w odpowiedzi na pytanie Holmesa. — Jednego tylko jestem pewien, a to, że nas już nie śledzono przez te dwa dni ostatnie. Wychodziliśmy zawsze pod opieką tajnego policjanta, który nic podejrzanego nie dostrzegł.

— Mam nadzieję, że trzymaliście się panowie razem?

— Prawie ciągle; wczoraj wyjątkowo spędziłem całe popołudnie u sir Henryka w muzeum chirurgicznem — odparł doktor Mortimer.

— Było to wielką nieostrożnością — rzekł Holmes z zadumą. — Proszę cię, sir Henryku, nie wychodź nigdy sam, bo może cię spotkać wielkie nieszczęście. Czy znalazł się drugi but?

— Przepadł z kretesem.

— Do widzenia — mówił Holmes, gdy pociąg ruszył — a pamiętaj, sir Henryku, jedno zdanie z owej legendy: po zachodzie słońca unikaj łąki i przyległego trzęsawiska.

* * *

Podróż była przyjemna; czas zeszedł mi na zawiązaniu bliższej znajomości z moimi towarzyszami i na bawieniu się z pieskiem doktora Mortimera.

Po paru godzinach zazieleniały pola, przez okno wagonu widać było pasące się trzody. Młody Baskerville przyglądał się krajobrazowi z widoczną przyjemnością, zwłaszcza, gdyśmy wjechali w jego rodzinne Devonshire.

— Od chwili, gdym je opuścił, objechałem świat dokoła — mówił — a nie widziałem nigdzie nic podobnego.

— Wszyscy obywatele Devonshire dzielą pańskie zdanie — wtrąciłem. — Żadna okolica nie wzbudza tak wielkiego przywiązania w swoich mieszkańcach, jak ta właśnie.

— To zależy od rasy — tłómaczył doktor Mortimer. — Dość spojrzeć na okrągłą czaszkę sir Henryka, aby poznać, że jest celtyckiego pochodzenia, a Celtowie mają wrodzony zapał i zdolność przywiązywania się do ludzi i kraju. Głowa biednego sir Karola była nawpół galijska, nawpół celtycka. Wszak pan, sir Henryku, opuściłeś Baskerville-Hall w bardzo młodym wieku?

— Miałem zaledwie lat dziesięć, gdy mój ojciec umarł. Zresztą nie znam pałacu, mieszkaliśmy w ustronnym dworku na południowem wybrzeżu. Stamtąd pojechałem wprost do Ameryki. Cały ten kraj jest dla mnie tak obcym i nowym, jak dla doktora Watson, a chciałbym już jaknajprędzej zobaczyć łąkę i przyległe trzęsawisko.

— Pańskie życzenie już się spełniło.

Doktor Mortimer wskazywał nam przez szybę rozległą pustą przestrzeń.

Był to widok smutny, ponury. Baskerville przyglądał mu się ze wzruszeniem, jako pobojowisku, na którem rozegrywały się tragiczne losy jego rodziny.

W jego brwiach ściągniętych, w zarysie ust znać było niezłomną wolę i energię.

Pociąg zatrzymał się przy małej stacyjce. Wysiedliśmy z wagonu. Po drugiej stronie dworca czekał nas amerykan, zaprzężony w dwa rosłe konie.

Nasz przyjazd był widocznie wypadkiem dnia, gdyż obstąpili nas tragarze, a naczelnik

stacji ze swoim sztabem przyglądali nam się ciekawie. Zastanowił mnie widok dwóch rosłych chłopów w mundurach żołnierskich; stali, oparci na karabinach i nie spuszczali z nas oka.

Stangret, o twarzy surowej, powitał sir Henryka ukłonem. Zajęliśmy miejsca w wehikule, konie pomknęły szybko; mijaliśmy schludne fermy, otoczone ogródkami, ale w oddali szarzały wciąż oparzeliska.

Amerykan wjechał na boczną drogę; mknęliśmy wśród łąk żyznych i pól uprawnych. Przy każdym zakręcie, ujawniającym nowe horyzonty, Baskerville wydawał ciche okrzyki zachwytu. Minęliśmy lasek dębowy; zeschłe liście uścielały drogę nowemu dziedzicowi. Można to było poczytywać za złą wróżbę...

— Hola! cóż to znaczy? — zawołał doktor Mortimer, gdyśmy wyjechali na pole.

Jak wryty w ziemię, stał żołnierz na koniu, z bagnetem przez ramię.

— Co to znaczy, Perkins? — spytał znowu doktor Mortimer.

Stangret odwrócił się ku nam i rzekł:

— Trzy dni temu jakiś więzień uciekł z więzienia w Princetown; wszystkie drogi kołowe i wszystkie dworce w pobliżu strzeżone są przez wojsko. Nie podoba się to naszym fermerom.

— Powinni być radzi. Policja płaci dobrze za wiadomości o zbiegach. Można zarobić kilka funtów.

— Ale można też stracić głowę, bo taki nie daruje i gardło poderżnie każdemu, kto policję na jego trop wsadzi.

— Cóż to za jeden?

— Nazywa się Seldon. Wpakowano go do więzienia za morderstwo w Notting-Hill.

Pamiętałem dobrze tę sprawę, bo Holmes interesował się nią, z powodu niezwykłego okrucieństwa mordercy. Złagodzono mu karę śmierci na dożywotnie więzienie: został uznany niepoczytalnym; sędziowie nie mogli uwierzyć, aby dopuścił się tak potwornej zbrodni, będąc przy zdrowych zmysłach.

Nasz amerykan toczył się teraz brzegiem trzęsawiska, najeżonego wysokiemi kamieniami. Widok był groźny. Nawet sir Henryk przestał się zachwycać krajobrazem.

Żyzna okolica pozostała za nami; mieliśmy przed sobą ziemię szarą, jałową, zrzadka ukazywała się ludzka siedziba, opasana murem z kamieni. Wreszcie wjechaliśmy w jar głęboki; roztoczyła się znowu zieleń drzew a w oddali ukazały się dwie strzeliste wieże. Stangret wskazał biczem.

— To Baskerville Hall — oznajmił.

Pan tej rezydencji, z roziskrzonemi oczyma przyglądał się swojej siedzibie.

W parę minut potem wjeżdżaliśmy już w pałacową bramę, staroświecką, sklepioną; po chwili ukazał nam się gmach, przebudowany za południowo-afrykańskie złoto sir Karola.

Turkot kół zamierał na zwiędłych liściach, stare drzewa tworzyły tunel nad naszemi głowami. Baskerville drgnął, widząc tę aleję.

— Czy to było tutaj? — spytał półgłosem.

— Nie; Aleja Wiązów jest po drugiej stronie, objaśnił go doktor Mortimer.

— Nie dziw, że stryj miewał złe przeczucia. Ten liściasty tunel może najodważniejszego człowieka przejąć strachem. Oświecę go lampami elektrycznemi. Za pół roku ten dziedziniec będzie nie do poznania.

Minęliśmy ciemną aleję, i szerokim, wzniesionym podjazdem zajechaliśmy przed pałac.

Środkowy korpus ozdobiony był wspaniałym portykiem; po bokach wznosiły się wieże, średniowieczne, zębate, ze strzelnicami.

— Witaj nam, sir Henryku! Witaj w domu swych przodków w Baskerville-Hall!

Z temi słowami pod portyk wyszedł mężczyzna wysoki, blady, i otworzył drzwiczki amerykana. Po za nim stała kobieta: pomagała mu wyjmować kuferki.

— Pozwoli pan, że nie zsiadając, odjadę do domu — rzekł doktor Mortimer. — Czeka na mnie żona.

— Jakto? Nie chce pan zostać na obiad?

— Chętniebym został i oprowadził pana po tej rezydencji, ale Barrymore spełni to lepiej odemnie. Muszę wracać. Do widzenia! A proszę pamiętać, że jestem na pańskie usługi o każdej porze dnia i nocy.

Amerykan potoczył się znowu ciemną aleją. Sir Henryk przestąpił próg, ja za nim.

Znaleźliśmy się w ogromnej, sklepionej sieni, z wiązaniami z belek dębowych. W staroświeckim kominku płonął ogień. Obaj wyciągnęliśmy ręce zziębnięte, a rozgrzawszy się, wodziliśmy oczyma po ścianach, zawieszonych zbrojami, strzelbami i myśliwskiemi trofeami.

— Tak sobie właśnie wyobrażałem tę siedzibę — mówił sir Henryk. Typowa rezydencja angielskiego szlachcica. Gdy pomyślę, że moi przodkowie żyli tu przez pięć wieków, ogarnia mnie dziwne wzruszenie.

Barrymore, zaniosłszy kuferki do naszych pokojów, wrócił i stał przy drzwiach, jako wytrawny służbista, nie chcąc przerywać naszej rozmowy.

Był to mężczyzna lat średnich, niezwykłej urody, o twarzy bladej, z dużą czarną brodą i regularnymi rysami.

— Czy jaśnie pan każe podać obiad? — zapytał.

— Już gotów?

— Gotów. Jaśnie pan znajdzie wodę ciepłą w swojej ubieralni. Moja żona i ja będziemy starali się dogadzać jaśnie panu, dopóki nie znajdzie nowej służby.

— Więc chcecie mnie opuścić?

— Warunki zmieniły się. My dwoje wystarczaliśmy sir Karolowi, ale jaśnie pan zechce zapewne żyć dworniej, przyjmować gości i będzie potrzebował więcej służby.

— Więc chcecie mnie opuścić? — powtórzył sir Henryk. — Wszak twoja rodzina służyła mojej przez kilka pokoleń. Przykroby mi było rozpoczynać nowe życie od zrywania tak dawnego stosunku.

Zdało mi się, że dostrzegam wzruszenie na chłodnej twarzy kamerdynera.

— I nam będzie przykro — odparł — ale byliśmy oboje bardzo przywiązani do sir Karola; jego śmierć wstrząsnęła nas do głębi. Ten dom budzi w nas tak smutne wspomnienia, że wolelibyśmy go opuścić.

— Cóż zamierzacie uczynić?

— Chcielibyśmy rozpocząć jakiś interes. Hojność sir Karola dostarczyła nam środków po temu. Może jaśnie pan zechce obejrzeć swoją rezydencję.

Nad sienią była oszklona galerja. Prowadziły do niej podwójne schody. Z tej galerji wychodziły dwa korytarze, wiodące do pokojów sypialnych. Mój, przylegał do sypialni sir Henryka. Ta część domu była widocznie przybudowana; pokoje jasne, urządzone nowocześnie, zaopatrzone we wszelkie wygody.

Za chwilę zeszliśmy do jadalni. Była to komnata wysoka, staroświecka, przedzielona na dwie części: w jednej, do której wchodziło się po trzech schodkach, za dawnych czasów jadali suzerenowie, zaś w niższej — wasale. Sklepione sufity nadawały jeszcze więcej powagi tej komnacie, która przy świetle pochodni, wśród gwaru uczty, bywała nieraz jasną i wesołą, ale teraz, w blasku lampy, przyświecającej dwom gentlemanom we frakach, wydawała się anachronizmem.

Wszystkie cztery ściany były ozdobione wizerunkami przodków, poczynając od rycerzy z czasów Elżbiety, a kończąc na przedostatnim właścicielu Baskerville-Hall.

Mówiliśmy mało i przyznam, że byłem rad, gdy obiad skończył się i mogliśmy wyjść do bilardowego pokoju na cygaro.

— Niezbyt wesoła rezydencja... rzekł sir Henryk. Przypuszczam, że można się do niej przyzwyczaić, ale na razie czuję się nieswój. Nic dziwnego, że mój stryj stał się dziwakiem. Połóżmy się wcześniej. Może jutro przy blasku słonecznym, te komnaty przedstawią nam się weselej.

Przed udaniem się na spoczynek, podniosłem roletę i wyjrzałem przez okno. Widok był na trawnik przed portykiem. Pośrodku stały dwa dęby, miotane wiatrem. Księżyc, w ostatniej kwadrze, przeświecał blado przez chmury. Zdala widniały nagie skały, a po za niemi trzęsawisko.

Spuściłem roletę, nie chcąc patrzeć dłużej na ten ponury krajobraz.

Byłem zmęczony, a jednak usnąć nie mogłem; obracałem się z boku na bok. Na dole zegar wybijał kwadranse, a po za tem panowała cisza grobowa.

Nagle przerwał ją płacz niewieści. Usiadłem na łóżku i począłem nasłuchiwać. Przez pół godziny czekałem w natężeniu, ale oprócz płaczu nie usłyszałem nic zgoła.

VII.

Stapleton z Merripit-House.

Świeżość następnego poranka rozproszyła smutne wrażenie, jakie na nas obu wywarła rezydencja Baskervillów. W świetle promieni słonecznych ślizgających się po starych zbrojach, sala jadalna wydała nam się weselszą, gdyśmy zasiedli do śniadania.

— Widzę, że to była wina naszego usposobienia, nie zaś dworu — mówił baronet. Byliśmy wczoraj zmęczeni drogą, zziębli, więc wszystko ukazywało nam się w ponurem świetle. Dziś jesteśmy rzeźwi, wypoczęci, to też dom wydaje nam się weselszym.

— A jednak nie wszystko było grą wyobraźni, odparłem. Czy pan słyszał wczoraj płacz?

— Istotnie, zdawało mi się, że słyszę zawodzenie żałosne. Natężyłem słuch, ale płacz ustał; więc byłem pewien, że mi się śniło.

— Ja słyszałem płacz najwyraźniej i mógłbym ręczyć, że płakała kobieta.

— Trzeba to sprawdzić — oświadczył sir Henryk.

Zadzwonił na Barrymora i spytał go o wyjaśnienie tej zagadki. Zdało mi się, że blada twarz kamerdynera zbladła jeszcze bardziej.

— W domu są tylko dwie kobiety — odparł. — Mleczarka, która śpi w drugiem skrzydle i moja żona. Co do mojej, mogę ręczyć, że nie płakała.

A jednak, mówiąc to, kłamał.

Po śniadaniu, spotkałem mrs. Barrymore w sieni. Słońce padało na jej twarz chłodną, płaską i brzydką. Duże wyraziste oczy były zaczerwienione; spojrzała na mnie z pod zapuchłych powiek.

A więc to ona płakała wśród nocy; mąż wiedział o tem napewno. Jednak zaprzeczył nam. Jaki miał w tem cel? Dlaczego ona płakała?

Ten blady mężczyzna z czarną brodą wydawał mi się podejrzanym. On pierwszy znalazł trupa sir Karola; o okolicznościach, towarzyszących jego śmierci wiedzieliśmy tylko to, co Barrymore opowiadał. Zaczynałem przypuszczać, że to on Barrymore, ukrywał się w dorożce i śledził sir Henryka. Broda była podobna. Wprawdzie według rysopisu dorożkarza, rzekomy Sherlock Holmes był niższego wzrostu, lecz rysopisy bywają niedokładne. (C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku